

Obydwaj przeciwnicy patrzyli nań, nieruchomi i zdumieni. Daspry rzekł do bankiera:

— Niech pan wybaczy, że mieszam się do tego, co do mnie nie należy. Ale naprawdę, grasz pan bardzo niezręcznie. Pozwól pan, że ja wezmę karty.

I zwracając się do Varina:

— Zagrajmy towarzyszu. A proszę cię, żywo! Atutem jest kier, wychodzę z siódemki!

I o trzy cale od nosa podsunął mu tabliczkę żelazną, na której jaśniało siedm znaczków czerwonych.

Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć podobnego wyrazu przerażenia. Błady, z wytrzeszczonymi oczyma, z rysami wykrzywionymi męką, człowiek ten zdawał się być zahypnotyzowany zjawiskiem, które nagle mu się ukazało.

— Kto pan jesteś? — wybełkotał.

— Mówiłem już: ten, który zajmuje się tem, co do niego nie należy... ale zajmuje się gruntownie.

— Czego pan żadasz?

— Wszystkiego, coś przyniosł.

— Nic nie przyniosłem.

— Przyniosłeś; inaczej nie byś przyszedł. Dziś rano otrzymałeś wezwanie na godzinę dziewiątą, nakazujące ci tu przynieść wszystkie, znajdujące się w posiadaniu twojem papiery. Przyszedłeś. A gdzie są papiery!

W głosie Daspry'ego, w całym jego zachowaniu się przebijała się wyniosłość, która mnie ogromnie dziwiła. Jak na człowieka, zwykle bardziej miękkiego i swobodnego, taki sposób postępowania był zupełnie niezwykłym. Całkowicie poskromiony, Varin wskazał na jedną ze swych kieszeni.

— Papiery są tu.

— Wszystkie?

— Tak.

— Wszystkie te, które znalazłeś w tece Ludwika Lacombe'a i potem sprzedałeś majorowi von Lieben?

— Tak.

— Czy to są kopie, czy oryginały?

— Oryginały.

— Ile chcesz za nie?

— Sto tysięcy.

Daspry wybuchnął.

— Zwaryowałeś! Major dał ci tylko dwadzieścia tysięcy. Dwadzieścia tysięcy wrzucono do wody, bo próby nie udały się.

— Nie potrafili zastosować planów.

— Plany nie są kompletne.

— Więc pocóż pan ich żadasz?

— Są mi potrzebne. Daję za nie pięć tysięcy franków. Ani grosza więcej.

— Dziesięć tysięcy. Ani grosza mniej.

— Zgoda.

Daspry zwrócił się do pana Andermatta.

— Zechciej pan czek podpisać.

— Kiedy nie mam... tu z sobą...

— Swego notatnika? Oto proszę.

Ogłoszony pan Andermatt dotykał palcami notatnika, który Daspry mu podał.

— Naprawdę... mój... Jakim to sposobem?

— Bez próżnych słów łaskawo panie; proszę tylko czek podpisać.

Bankier wysunął stylograf i podpisał. Varin wyciągnął rękę.

— Łapy na dół! — zawołał Daspry — jeszcześmy nie skończyli.

I zwracając się do bankiera, zapytał:

— I szło tu także o listy, które pan mieć czytałeś?

— Tak jest; o pakiet listów.

— Varin, gdzie są listy?

— Nie wiem. Mój brat tem się zajmował.

— Są tu ukryte, w tej sali.

— Zatem pan wie, gdzie się znajdują?

— Skądże mógłbym wiedzieć?

— Ba! Alboż nie pan otwierałeś skrytkę? Pan o niej tak dobrze zdajesz się wiedzieć, jak... Salvator.

— Listów niema w skrytce?

— Są.

— Otwórz ją!

Varin spojrzał podejrzliwie. Czy Daspry i Salvator, jak to wszystko kazało przypuszczać, nie są jedną osobistością? Jeśli tak, to nie nie ryzykował, odkrywając skrytkę już znaną. Jeśli zaś nie, byłoby nieużytecznem...

— Otwórz ją! — powtórzył Daspry.

— Nie mam siódemki kierowej.

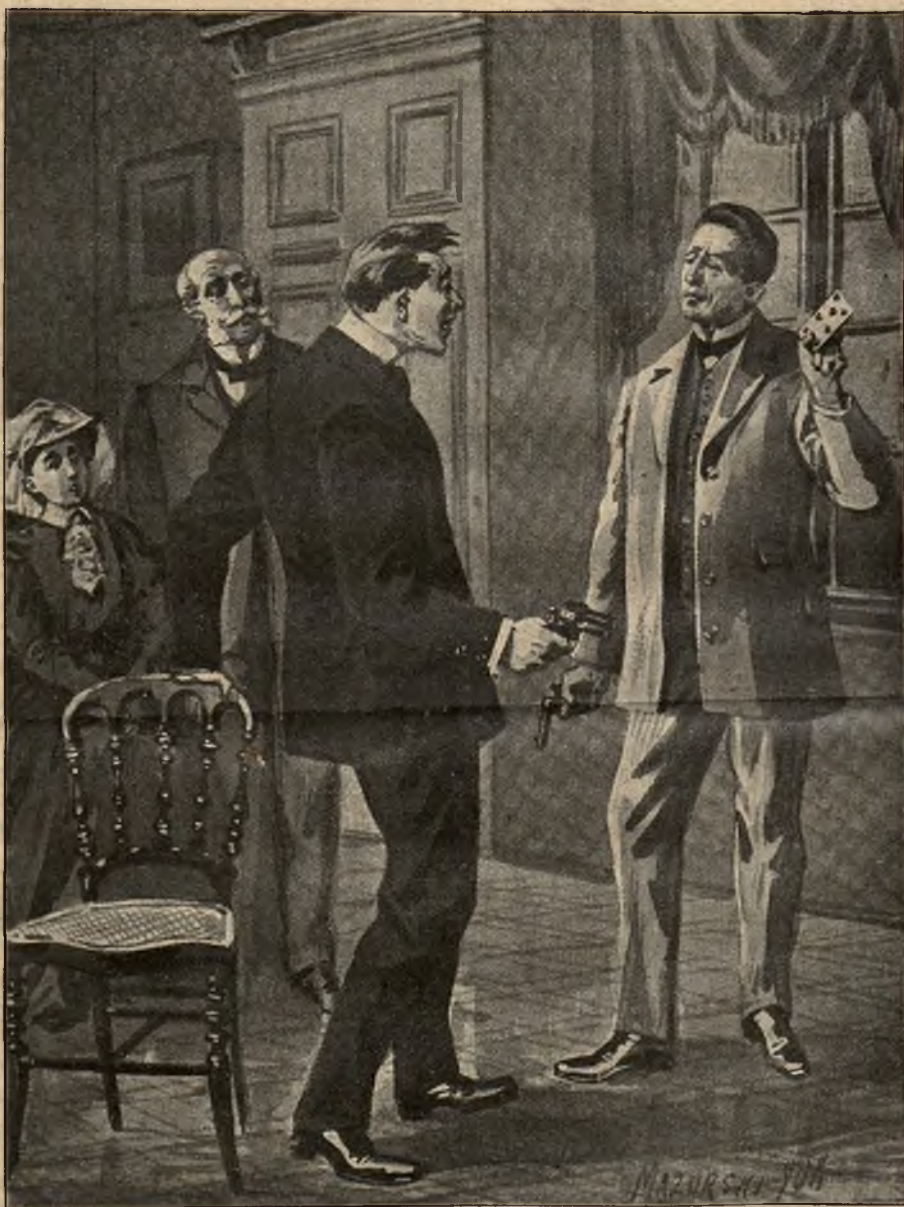
— Masz tę — rzekł Daspry, podając mu blaszkę żelazną.

Varin cofnął się ze wstrętem.

— Nie... nie... nie chcę...

— Więc mniejsza o to.

Daspry zbliżył się do starego monarchy z kolorową brodą, wskoczył na krzesło i przyłożył siódemkę kierową do miecza u dołu, przy samej rękojeści w taki sposób, że brzegi tabliczki przylegały ściśle do obu brzegów miecza. Potem szydełkiem, które zagłębiał kolejno we wszystkie siedm otworów, znajdujących się na końcach siedmiu serc, przyciskał mocno drobne kamyczki mozaiki. Za siódmym pociśnięciem popiersie króla skreśliło się jakby na osi i ukazał się szeroki o-



I podsunął mu tabliczkę żelazną, na której jaśniało siedm znaczków...

twór nakształt wnętrza skrzynki, obity żelazem i zaopatrzony dwiema listwami błyszczącej stali.

— Widzisz dobrze, skrzynka jest pusta.

— W istocie... To znaczy, że brat mój wyjął stąd listy.

Daspry powrócił do Varina i rzekł mu:

— Żadnych sztuk ze mną. Jest drugi schowek; gdzie się znajduje?

— Niema.

— Czy to pieniędzy chcesz? Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Panie Andermatt, czy listy mają dla pana wartość dziesięciu tysięcy?

— Tak — odrzekł bankier mocno.

Varin zamknął skrzynkę, nie bez wstrętu wziął do rąk siódemkę żelazną i przyłożył ją do miecza na rękojeści, zupełnie w tem samym miejscu, jak to czynił Daspry. Potem zagłębiał ostrze w koniuszkach siedmiu serc. Nastąpiło powtórne uchylenie króla, aby tym razem, rzecz nieoczekiwana, uchyliła się także część skrzynki, odsłaniając mały schowek, umieszczony w grubości samych drzwi-czek, które zamykały skrytkę większą.

Leżała tam paczka listów, związana sznurkiem i opieczętowana. Varin oddał ją Daspry'emu. Ten zapytał:

— Panie Andermatt, czy czek jest gotów?

— Tak.

— I masz pan także ostatni dokument, dopełniający plany podwodnego statku Lacombe'a?

— Mam.

Nastąpiła zamiana. Daspry schował do kieszeni czek i dokument, a panu Andermattowi podał paczkę listów.

— Oto listy, których pan żądałeś.

Bankier zawahał się przez chwilę, jakby obawiał się dotknąć tych kartek przeklętych, których przez czas długi poszukiwał z taką zawziętością. Potem ruchem nerwowym ujął je.

Tuż przy mnie ożwał się jęk. Chwyciłem rękę pani Andermatt: była zimna jak lód.

A Daspry mówił bankierowi:

— Sądę, że rozmowa nasza skończona. O, proszę! żadnych podziękowań. Przypadek jedynie pomógł, że mogłem usłużyć panu.

Pan Andermatt wyszedł; unosił z sobą listy swojej żony do Ludwika Lacombe'a.

— Wyśmienicie! — z uniesieniem wykrzyknął Daspry — wszystko się składa, jak nie można lepiej. Teraz kolego mamy tylko skończyć naszą sprawę. Masz papiery?

— Są tu wszystkie.

Daspry przejrzał je, zbadał uważnie i wsunął sobie do kieszeni.

— Doskonale; dotrzymałeś słowa...

— Ale...

— Ale co?

— Dwa czeki?... Pieniądze?...

— Oho, pewnyś siebie mój pocciwcze. Cóż to, ośmielasz się żądać?

— Żądam tego, co do mnie należy.

— Należy ci się za papiery, które skradłeś?

Varin odchodził od siebie. Trząsł się ze złości, oczy nabiegły mu krwią.

— Pieniądze... dwadzieścia tysięcy... — bełkotał.

— Niemożliwe... są w mojem ręku.

— Pieniądze!

— Ciszej! bądźże rozsądny, zostaw swój sztylet w spokoju.

I chwycił go za rękę tak potężnie, że Varin aż zawył z bólu, a sam mówił dalej:

— Przejdź się kolego, świeże powietrze ci orzeźwi. Czy życzysz sobie, abym cię przeprowadził? Przejdziemy się tam, przez ogród pusty; pokażę ci pewien wzgórek gruzów, pod którymi...

— To nieprawda! nieprawda!

— Owszem, to prawda. Ta żelazna blaszka z siedmiu czerwonymi znaczkami stamtąd pochodzi. Ty i twój brat zakopaliście ją razem z trupem... i innymi rzeczami, które bardzo interesują policję.

Varin zakrył sobie twarz konwulsyjnie zaciśniętymi pięściami. Potem odezwał się:

— Dobrze. Przegrałem. Nie mówmy o tem. Wszakże słowo jeszcze...

jedno słówko... chciałbym wiedzieć...

— Słucham.

— Czy w tej skrzynce, większej, była druga, mniejsza?

— Tak.

— I była także, kiedy byłeś pan tu w nocy z 22 na 23 czerwca?

— Tak.

— I co w niej było?

— Wszystko, co bracia Varin w nią schowali, dość piękny zbiór klejnotów, brylantów, pereł, zgrzebanych na prawo i na lewo przez tych, tak zwanych braci.

— I pan ją wzięłeś?

— Ba! Postaw się na mojem miejscu.

— A więc... to spostrzegłszy zniknięcie tej kasety mój brat się zabił?

— Prawdopodobnie. Zniknięcie waszej korespondencji z majorem von Lieben nie byłoby dostateczną przyczyną. Ale zniknięcie kasety... Czy to wszystko, co chciałeś wiedzieć?

— Jeszcze jedno: pańskie nazwisko?

— Mówisz tak, jakbyś myślał o odplacie.

— Do diabła! Los się zmienia. Dzisiaj pan jesteś silniejszy, jutro...

(Ciąg dalszy nastąpi).